

STEFAN ŻEROMSKI

---

# Echa leśne

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

STEFAN ŻEROMSKI

## Echa leśne

Pan generał Rozłucki siedział uroczyście na stołku składanym. Stołek ów (własność przenośna geometry Knopfa) mieścił się w samym środku dywanu zdjętego znad łóżka mojej matki. Po drugiej stronie ogniska, na pniaku z wzorową starannością zasłanym pledem, w gumowym płaszczu do samej ziemi, niby w ruchomym namiocie, kurczył się i wykrzywił wzmiankowany wyżej geometra Knopf. Obok niego w rosochatych gałęziach wykrota, przyniesionego przez strzelca, niewygodnie tkwił podleśny Guńkiewicz, piastując z pieczołowitością szklaneczkę araku z dodanymi dla pozorów dwiema łyżeczkami herbaty. Pisarz gminny Olszakowski i stary wójt Gała z miedziakiem za „*uśmierzenie polskiego miatieża*”<sup>1</sup> na rudej sukmanie — siedzieli obok siebie. Ojciec mój, przywykły na polowaniach do lasu, w pół leżał na ziemi, a niżej podpisany, zaszczycony właśnie promorą z klasy drugiej do trzeciej, był wszędzie, gdzie go nie posieli.

Dymisjonowany generał Rozłucki, plenipotent jednego z najbardziej sowiec obdarowanych donatariuszów, zjechał był właśnie do folwarku od dawien dawna dzierżawionego przez mego ojca, ażeby, wskutek wynikłych z ukazu<sup>2</sup> zamian gruntów, przyłączyć z lasów rządowych do obszaru dworskiego znaczny płat boru.

Odcięcie trójkąta leśnego już się prawie dokonało. Geometra Knopf, który od tygodnia „bawił” w domu naszym ku śmiertelnemu wszystkim udręczeniu, wyciął nareszcie „linię”, a wynajęci drwale już ją od dawna rąbali, w starym, ciemnym lesie. Plenipotent, który również gościł już od trzech dni na folwarku, miał zamiar co prędzej oddać ojcu mojemu w obecności władz miejscowych las przyłączony. Dwie partie chłopów rąbały linię, zbliżając się ku sobie ze stron przeciwnych. Sądono, że uda się sprawę załatwić przed zachodem słońca. Tymczasem noc głucha zapadła, a linia nie była jeszcze doszczętnie wycięta. Generał postanowił bądź co bądź nazajutrz wyjechać. Urzędnicy pragnęli również ukończyć czynność. Zgodzono się tedy, żeby prowadzić robotę nocą, choćby do rana.

Tuż pod lasem rozłożono ognisko. Ze dworu odległego o jakie dwie wiorsty<sup>3</sup> przyniesiono kolację — i oto czekaliśmy na ścięcie kilkudziesięciu pozostałych jodeł, bawiąc się w miarę możliwości.

Wszyscy byli w nie najgorszych humorach. Poczciwy Guńkiewicz z resztą „pożyczki”<sup>4</sup> na skroniach i brodziną uczernioną tanim czernidłem wychlipał już był co najmniej dziewięć szklanek herbaty z arakiem, obawiając się tkliwie, gdym mu nową podawał, czy też aby nie będzie za wiele, „boć to, zdaje się, już trzecia”... Zapewniałem go ze stanowczością osoby, która nabyła właśnie wielkiej biegłości w arytmetyce aż do ułamków dziesiętnych, że „bynajmniej” — więc poddawał się oczywiście, ulegał z pokorą światłu wiedzy i przyjmował nową porcyjkę araku.

Pisarz gminny Olszakowski, znawca wszelakiego rodzaju spraw człowieczych, osobliwie zaś powiatowo-gminnych sposobów piorunującego robienia majątku (za co nawet „cierpiał” już był przez czas pewien w kieleckim kryminale), geniusz niewątpliwy, który mógłby z powodzeniem piastować urząd ministra spraw wewnętrznych czy zewnętrznych, a nawet bez żadnego wysiłku te obydwie godności, notoryczny łapownik, zdzierca chło-

Urzędnik, Ziemia,  
Własność, Las

Alkohol

<sup>1</sup>za „*uśmierzenie polskiego miatieża*” (z ros.) — za uśmierzenie polskiego buntu (powstania styczniowego).

<sup>2</sup>z ukazu — z reformy uwłaszczeniowej z 1864 roku.

<sup>3</sup>wiorsta — dawna ros. jednostka długości, ok. 1068,8 m.

<sup>4</sup>pożyczka — włosy z boku głowy zaczesane do góry, maskujące łysinę.

pów i wyzyskiwacz Żydów, najznakomitszy wymijacz prawa i grasant<sup>5</sup> parafialny, pił mało ze względu na obecność generała i awansował<sup>6</sup> się bardziej w kierunku jadła. Ponieważ jednak w swej wszechwiedzy nic sobie z tego generała nie robił, nie skąpił tedy zebranych pogodnego wesela ducha.

Wójt Gała chrupał żuchwami i lykał chyłkiem, co mu się podsunęło, pił zaś bez wstrętu, a pomrukiwał wesoło. Widać było, że chętnym i ochotnym sercem spełnia tę służbę państwową na pobrzeżu leśnym oraz że chwali sobie na ogół dzisiejszą czynność.

Nawet Knopf, chodzący katar żołądka (tudzież kiszki), zeschły neurastenik, istota jadająca tylko rzeczy niektóre, lekkostrawne, niekwaśne, suche, i to takie właśnie, jakich na wsi zapadłej, a osobliwie w Górach Świętokrzyskich, nikt nigdy, jak świat światem, nie tylko nie jadał, nie widział, ale nawet nie znał z nazwiska — nudziarz nie sypiający po nocach, nie znoszący piana kogutów, szczekania psów, bełkotu indorów, gęgania gąsiorów, a nawet gdakania kur — istna plaga egipska dla ludzi zdrowych, silnych, gospodarujących w miejscu, gdzie się kochano w psiarni, gdzie kundły, ogary, wyły, jamniki i w ogóle „pieski” najrozmaitszego wieku i gatunku nie tylko szczekały i wyły po całych nocach, ale nadto wylegiwały się po kanapach i sofach — gdzie koguty piałły bez przerwy, a gdy nie piałły, to je za to natychmiast zarzynano — nawet, mówię, Knopf był w niezłym tego dnia usposobieniu. Opowiedział zebrany jakąś anegdotkę kwaskowato-dowcipną o swej astrolabii<sup>7</sup>, którą według opinii złośliwych ubierał we własne kalosze, spodnie, marynarkę i kapelusz dla ochrony przed deszczem... Puentę anegdoty zepsuł co prawda podleśny Guńkiewicz przedwczesnym wybuchem śmiechu w miejscu akurat niezawierającym nic dowcipnego — mimo to jednak Knopf się uśmiechał, co było istnym fenomenem na przestrzeni trzech guberni i w ciągu kilku lat.

Zdrowie

Zwierzęta, Wieś, Pies

Śmiech

Generał, ramolcio nieźle zakonserwowany, trzymał się z właściwą powagą. Pisarza i wójta przy tej improwizowanej wieczerzy prawie nie dostrzegał, znosił jednak bez protestu ich obecność i nic nie miał przeciwko temu, żeby spożywali z apetytem kurczęta, płaty pieczeni na zimno takiej i owakiej, żeby przymknąwszy oczy „spuszczali” kielichy „bretnalówki”, „zagryzali” rzeczony kielicha szklanicami piwa, a „rozgrzewali się” herbatą z arakiem. Guńkiewicza zaszczycił od czasu do czasu słowem generalskim, z Knopfem — rozmawiał. Sam jadł z wolna i popijał herbatę.

Pozycja społeczna

Jedzenie

Generał był Polakiem i ostentacyjnie zawsze mówił po polsku, nawet w urzędach. Znać było w jego wymowie pewne zacięcie i akcent rosyjski, ale ów akcent pasował jakoś do jego wyniosłej figury, do grubej kurty szczególnego kroju, okrągłej czapki z czerwonym lampasem i niebywałej wielkości daszkiem, do sukiennych kamazów i siwych podkręconych wąsów.

Polak, Strój

Ogień buchał podsycany przez strzelca. Suchy jałowiec palił się z wesołym trzaskiem. Z lasu leciał po rosie wieczornej łoskot siekier. Łoskot uderzał w lasy, w ogromne świętokrzyskie bory jodłowe, w puszcę wilgotną, senną, niemą, głuchą. Echa ciosów mknęły od góry do góry, od kniei do kniei, w dal czarną, w noc, we mgłę. Odbite, wypędzone, dalekie głosy drżały kędyś za światem i zza świata wołały. Przelekle, niewymowne wracały z dali, z moczarów, gdzie nikt nie chodził, gdzie „straszy”. Co pewien czas rozlegał się wśród stuku siekier jadowity trzask lecącego drzewa, szum i łomot obszaru jego gałęzi, potężny, głuchy grzmot upadku wielkiego pnia. Echo porywało ten głos i niosło w ciemnonocną dalekość wieść coraz głuchszą, o tym ciosie przejmujące zwiastowanie... Wszystek las łamał się i rozpadał, huczał wszystkimi drzewami świadectwo niezapomniane i żywym głosem z ciemności wzywał...

Las

Wyplął z zasłon leśnych olbrzymi, czerwony księżyc i wolno szedł wśród ciemnych obłoków. Towarzystwo zebrane przy ognisku zamilkło. Chłód powiał. Mój wierzchowiec

Koń

<sup>5</sup>grasant — łupieżca.

<sup>6</sup>awansować się (z fr. *avancer*: posuwać się naprzód, robić postępy) — tu: posuwać się, dążyć do czegoś.

<sup>7</sup>astrolabia własc. *astrolabium* — dawny przyrządek do wyznaczania pozycji na ziemi względem ciał niebieskich.

(siwa szkapa folwarczna, jasnoścista półemerytka, której po przyjeździe na wakacje obciążeniem był ogon i grzywę, którą torturowałem popręgami starej kulbaki i zmuszałem do zabójczych galopów) stał w pobliżu ogniska. Widać było poczciwy łeb i przednie łopatki, kopyta na emeryturze, a nade wszystko oczy, przedziwnie rozmyślające o płonącym ognisku i o nas, ludziach tam zebranych...

Generał od dawna postawił szklankę na tacy i siedział wyprostowany, z nogą zgrabnie odstawioną, a piersią wysuniętą. Czasami oglądał się na las. Słuchał, jak echa grają, i znowu ustawiał głowę we właściwej formie.

Rzekł, zwracając się do Guńkiewicza:

— Panie podleśny, a jak daleko z tego oto miejsca do Suchedniowa?

Guńkiewicz postawił szklankę i z należyтым pochyleniem zamaskowanej łysiny oświadczył, że na prostaki nie będzie dziesięciu wiorst.

— A pan tu drogi wszystkie zna?

Guńkiewicz uśmiechnął się z dumą czy politowaniem. Nie znajdował słowa zbyt dośadnego na wyrażenie swych znajomości tamtejszych wertepów: od lat dwudziestu kilku był podleśnym.

— Tak... — bąknął generał w zamyśleniu. — A pan taką drogę zna: od Zagnańska ku Wzdolowi? Była tam przy tej drodze karczma w szczerym lesie...

— Zagoździe — jakże! Stoi.

— Jedna korzenista droga szła stamtąd w kierunku Suchedniowa, a druga, lepsza, na Wzdół, na Bodzentyn.

— Tak jest, panie generale.

— Więc karczma, pan mówisz, stoi?

— Stoi. Najgłówniejsza złodziejska przystań i ucieczka. Z całej Korony Polskiej koniokrady tam się właśnie schodzą.

— Przed tą karczmą, za drogą, po drugiej stronie, był wydmuch piasku. Duży, żółty... Na tym wydmuchu rosło kilka brzoź...

— A to generał pamięta doskonale! Z tych tam brzoź tylko jedna została. A były już brzozy — ba — ba! Karczmarz łajdak je wyciął. Jedna z tych brzoź została, i to dlatego, że o nią krzyż oparty. Już, szelma, tej tknąć nie śmiał.

— Co za krzyż? Skąd tam krzyż? — żywo spytał Rozłucki.

— A tam krzyż stoi... w tym miejscu...

— Z jakiej racji krzyż w tym miejscu — a?

— Jak to krzyż, panie generale... Ludzie postawią, drudzy czapki uchylają — i tak se ta stoi... Już też i spróchniał od dołu, podparło go się tam z boku dwoma „pasierbami”...

— Kto postawił? — nalegał generał.

— Prawdę powiedziawszy... — mruknął niewyraźnie Guńkiewicz, uśmiechając się nieśmiało — prawdę powiedziawszy, to ja ten krzyż postawiłem. Drzewa tu mamy w bród. Wzięło się jodłę zdrową, jędrną, wystałą. Obrobił ją do kantu, a nawet tu obecny cieśla, a nasz teraz pan wójt...

— E, nie ma ta o czym, co ta... — opędział się niechętnie wójt Gała.

— Wpuściło się drzewo w ten piach głęboko, głęboko...

— A dłączegóż w tym właśnie miejscu?

— Dlatego, proszę łaski pana generała, że w tym miejscu leży człowiek pochowany, tam w tej wydmię.

— Człowiek pochowany... — powtórzył generał. — A pan tego człowieka znałeś może, co?

— Ano... Juścić go znałem, bo na takim leśnictwie jak moje trudno było nie znać... Lasy wokolusieńko milami. Kto już w te lasy włął, to mojego węgła, a nawet mojego łózka pewno nie ominął.

Generał zwiesił głowę i przez czas dość długi siedział w milczeniu. Wyjął wreszcie z bocznej kieszeni srebrną papierośnicę, otworzył ją niepewnymi palcami.

— A wiesz pan — mówił z zimnym uśmiechem — że ów człowiek, co tam pochowany leży, to mój rodzony bratanek.

Geometra Knopf, który dotąd siedział bez ruchu, zapatrzony w płomień ogniska z takim zacięciem ust, jakby miał przed sobą coś obmierzonego, rzucił na generała gwałtowne spojrzenie:

Karczma

Pobożność

Grób

— Rymwid?! — zawołał.

Generał zwrócił się ku niemu:

— To właśnie, Rymwid... A i pan coś o nim wiesz...

Knopf wykonał ustami szereg wykrzywień, jakby przed chwilą pił czysty sok cytrynowy, kiwał chudą ręką w rozmaitych kierunkach, mrugał białymi powiekami. Wreszcie wśród najnieznośniejszych dla oka a obłudnych uśmiechów mruknął:

— No tak... Rymwid... Rozumie się...

— Rymwid! — powtórzył generał z zaciekłością i szyderstwem. — On, porucznik mojego pułku — Rymwid! „Kapitan”! No i dograł się...

— Więc to rodzony bratanek... — z trwogą szeptał Guńkiewicz wybałuszając ogłupiałe oczy.

— Rodzonego brata drugi z rzędu syn, Jan — mówił generał w zadumie. — Brat mój w sewastopolskiej wojnie<sup>8</sup> pod Małachowym Kurhanem sławnie zginął. Generał-major, mikołajewskich czasów człowiek. Za węgierską kampanię nagrodzony stopniem, orderami, majątkiem w penzeńskiej guberni. Na polu bitwy umierając, mnie tych dwóch synów swoich polecił. Jam mu braterskie i żołnierskie słowo dał, że ich na ludzi wychowam, w świat wyprowadzę. No i dochowałem słowa. I dochowałem... Starszy na Kaukazie służył i tam z cholery umarł w randze sztabkapitana. Piotr, bezżenny. Młodszy, Jan, przy mnie w pułku służył po skończeniu korpusu. Ożenił się młodo z Polką, Płazianką, synka małego miał, kiedy to podle powstanie przyszło. Przyszło to podle powstanie, moi panowie; odkomenderowali... Ja wtedy byłem w randze podpułkownika. Poszliśmy w Opoczyńskie.

Generał zamyślił się głęboko. Knopf skrzył w palcach misternie równego papierosa, wsunął go ostrożnie do cygarniczki i szukał pracowicie węgielka, od którego mógłby zapalić. Generał czekał, zdawało się, na chwilę, kiedy nareszcie zapali, a gdy Knopf zaciągnął się dymem, rzekł:

— No tak. Ten mój bratanek — zdradził. Tylko co rozlokowaliśmy się na leżach, uszedł nocą do bandy. Rano jednego dnia raportuje mi kapitan Szczukin, że tak i tak: Jana nie ma. W kwaterze, gdzieśmy stali, w Sielpi, znaleziono kartę na stole zawiadomieniem mnie, jako dowódcy naówczas trzech batalionów, „że wierny obowiązkowi dla swojej ojczyzny” — i tym podobne brednie. Mnie, swego przełożonego i stryja, wzywa, żebym także splamił swój oficerski honor, złamał przysięgę i uciekał za nim do bandy, do lasu. Tak to, moi panowie.

Knopf cmił swego papierosa uważnie, powoli. Puszczal matematycznie dokładne kółka dymu i śledził je oczyma. Guńkiewicz nie chciał już pić herbaty. Siedział oszołomiony, patrząc w mówcę jak w tęczę...

— Doszły mię wieści — ciągnął generał — że nasz uciekinier jest szefem sztabu w jednej z band. No, dobrze... Po to — mówi do mnie kapitan Szczukin, dowódca rot, pod którym mój bratanek służył — po to poszedł. W wojsku służba twarda, ciężka, niewdzięczna, a w bandach służba lżejsza. Tam nasz *praporszczyk*<sup>9</sup> byłby bez trudu i zachodu kapitanem... O co jak o co, mówi, ale o awans w tych wojskach polskich nietrudno.

Knopf skończył swego papierosa i śmiał się z dowcipu kapitana Szczukina. Generał mówił:

— Szliśmy wciąż oblawami to za taką partią, to za inną. Co wyjedziem od końskich w suchedniowskie lasy, to oni ujdą w głąb ku Bodzentynowi. My się wrócimy, to ci za nami. Jeden szczególnie wódz, pułkownik czy kapitan, nazwiskiem Walter, najbardziej nas zwodził. Palił nocą szerokie ogniska, niby to obóz, a sam usuwał się od takiego miejsca dosyć daleko i nocował bez ognia. My ciągniemy oblawę, otaczamy cichaczem owe

<sup>8</sup>*sewastopolska wojna* — oblężenie Sewastopola, portu rosyjskiego na zach. wybrzeżu Krymu przez wojska koalicji brytyjsko-francusko-tureckiej, która ostatecznie zwyciężyła. Oblężenie trwało 11 miesięcy w 1854–1855 r. i stanowiło element wojny krymskiej między Rosją a imperium otomańskim (1853–1856).

<sup>9</sup>*praporszczyk* (z ros.) — w wojsku rosyjskim najniższy stopień oficera.

Rodzina

Powstanie

Wojna, Żołnierz

Honor, Patriot, Powstanie

Walka, Podstęp

ognie dalekie, napadamy wreszcie nocą — pustka. A on tymczasem na uczyniony hałas podchodzi jak rabuś, strzela w naszych żołnierzy pod blask ognisk i umyka w knieje. Miał i chłopów zbalamuconych, którzy nas nocą prowadzili na te fałszywe obozy.

Pisarz spojrział na wójta Gałę spode łba i uśmiechnął się niezdrowym śmiechem. Wójt siedział wyprostowany, z oczami wlepionymi w generała.

— Tak było wielokroć w Samsonowskiem...

— Pod Gozdem... — dorzucił Guńkiewicz.

— A i pod Gozdem...

— Pod Klonowem... — mruknął Knopf.

— Ale przerwała się zabawa — wtrącił generał. — Na raz, na dwa, na trzy wreszcie się sztuka uda, ale nie na zawsze. Zdarzyło się, że szedłem ja na czele kilku rot od Zagnańska ku Wzdolowi — ot, tą drogą na karczmę. Zanocowałem w karczmie, a Szczukina posłałem z rotą na *poiski*<sup>10</sup> tego Waltera. Do bitwy „gałgan” nie idzie, leży tygodniami w bagnie koło Klonowa, w Bukowej Górze — musimy go szukać.

Ledwie tej nocy zasnął, budzi mnie adiutant, młody człowiek: strzały gęste w lasach. Ocknąłem się. Las rzeczywiście huczy... Ot, jak teraz. Żal... Serce boli. Posłałem ja drugą rotę na wsparcie Szczukinowi. Nie upłynęło więcej nad dwie godziny, nadciągnęli. Wprowadził ich chłop na obozowisko, ale już teraz prawdziwe. Kiedy ich ogarnięto i uderzono bagnetem, większość wybiła się i pierzchła w las, sporo zginęło na miejscu. Szczukin przyprowadził wziętego w rukopasznom boju<sup>11</sup>, krótko mówiąc, nie kogo innego, tylko mego bratanka, „Rymwida”. Miałem ja rozkaz nieodwołalny od mego generała brygady — lasy aż po Bodzentyn oczyścić za wszelką cenę — z prawem życia i śmierci. Nie było czasu na wysłanie jeńców do więzienia w Kielcach, a i siły miałem szczupłe. Oficerowie wzburzeni. We mnie, jako w krewnego, surowym, pytającym wzrokiem patrzą.

Kazałem złożyć sąd polowy, i to natychmiast, bo trzeba było bandę ścigać bez zwłoki. Ja prezydujący, kapitan Szczukin i kapitan Fiedotow z prawej strony, porucznik von Tauwetter i feldfebel Jewsiejenko — z lewej strony. Zasiadliśmy natychmiast w wielkiej izbie tej karczmy. Łojowa świeca paliła się w lichtarzu...

Generał mówił coraz szybciej, niezrozumialej, coraz częściej wtrącał rosyjskie wyrazy, zwroty, zdania. Poprawił się na krześle i ciągnął:

— Przyprowadzili. Sześciu żołnierzy, on w środku. Mały, wychudły, czarny, *oborwaniec*. Włosy *wzjeroszony*<sup>12</sup>. Ledwie poznać... Spojrzę ja na niego: Jaś, rodzzonego brata ulubiony syn... Na kolanach wyhodowałem... Jakieś na nim gałgany... Twarz przez całą szerokość rozerwana bagnetem, sina, zapuchnięta. Jak wprowadzili, tak i stanął przy drzwiach. Czeka. A ty, sędzio, sądz!

No — tam pytanie urzędowe, formalne: — kto jest? Milczy. Patrzymy w niego wszyscy. Towarzysz dobry, kolega kochany, dusza-człowiek, oficer pierwszorzędny. Twarz jego zrobiła się harda, zastygła, skrzywiona od jakiegoś uśmiechu, co tę twarz miłą, dobrą i miękką wykrzywił, podobnie — ot, jak kowal weźmie i wykrzywi w ogniu raz na zawsze miękkie żelazo w krzywy hak.

Ci żołnierze, co go strzegli, to byli zarazem świadkowie. Zeznają, że go pojмали w lesie, nocą, bijącego się z nimi pierś w pierś, zeznają, że on i jest ten sam, ich własny porucznik, Rozłucki. Sprawa jasna, cóż tu więcej? Głosować.

Wtedy zwraca się do mnie sędzia z prawej strony, kapitan Szczukin, i powiada, że chce jeszcze podsądnemu pytania zadawać. Cóż — zadawaj. Wstał Szczukin ze swego miejsca, kulkami oparł się z całej mocy, na ostatek przechylił się przez ten stół ku niemu. Żyły mu na czoło wylazły, twarz szerniała jak ziemia. Oczy wlepił w winowajcę. Czekamy wszyscy, o co go jeszcze będzie badał. Tymczasem ten słowa wypowiedzieć nie może, bo człowiek był twardy, nieuczony. Nozdra mu drgają, brwi się zeszyły. Zaczął wreszcie walić kulakiem w stół i wołać ku podsądnemu:

— Rozłucki! Ty nie śmiejesz tu przed nami hardo stać! Nie śmiejesz w nas patrzeć takimi oczami! Tyś zaprzysięgał czy nie? Coś zrobił z twoją przysięgą? Odpowiadaj! Przysięgałeś czy nie?

— Przysięgałem — rzekł.

<sup>10</sup>*poiski* (ros.) — poszukiwania.

<sup>11</sup>*w rukopasznom boju* (ros.) — w walce wręcz, na bagnety.

<sup>12</sup>*wzjeroszony* (z ros.) — wzburzone.

Sąd, Rodzina, Wojna,  
Powstaniec

Przysięga, Wierność,  
Zdrada, Honor, Powstaniec,  
Sprawiedliwość, Hańba

— Przysięgałeś — jął znowu krzyżeć Szczukin na całą karczmę, gniotąc stół pięściami — a z tą świętą przysięgą to coś zrobił? Tyś z szeregu uciekł do wroga! To prawda czy nie?

— To prawda.

— Razem z innymi zdrajcami swego panującego napadłeś na jego wojsko z zasadzki. Prowadziłeś zdrajców, dawałeś im najzgubniejsze wskazówki, uczyłeś ich, gdzie i jak uderzać. Ja sam widziałem cię dzisiejszej nocy w bitwie z żołnierzami twej własnej roty. Ja tu świadczę, że widziałem, jak żołnierz Deniszczuk zranił cię bagnetem. To prawda czy nie?

— To prawda.

— Jeżeli to wszystko prawda, to ty nam, żołnierzom prawym i wiernym, w oczy tu mężnym wzrokiem patrzeć nie śmiej. Stoisz przed obliczem sprawiedliwego sądu. Twój własny stryj sąd nad tobą sprawuje. Spuść oczy i zniż się, bo ty jesteś zdrajca i nędznik!

On na to rzekł:

— Ja stoję przed sądem Boga. A ty mnie sądz według swojego sądu, jak chcesz.

Szczukin siadł.

Głosowanie. Dwa głosy padły za karą natychmiastową. Szczukina i von Tauwettera, dwa za odesłaniem pod konwojem do Kielc. Mnie tedy przyszło przechylić szalę. No, i przechyliłem... — mówił cicho, kiwając głową.

— Mieli wyprowadzić. Jewsiejenko wniósł, że może ostatnie ma życzenie. Dałem głos. Spojrzał tedy na mnie tymi pieczarami oczu, wlepił je we mnie. Staliśmy wszyscy za stołem. On podszedł blisko. Patrzy mi w oczy, ja w jego. Jakby dwie lufy pistoletowe przystawił... Pamiętam surowe słowa:

— Rozkazuję przed śmiercią, i to jest moja niewzruszona ostatnia wola, żeby mój mały sześciolatek syn, Piotr, był wychowany jako Polak, taki sam jak ja. Rozkazuję, żeby go uczyć, choćby to było przeciwne sumieniu wychowawcy, jak jego ojciec zrobił wszystko, aż do samego końca. Rozkazuję mu głosem głuchym, żeby pracował dla swej ojczyzny i żeby, jeśli zajdzie potrzeba, umierał dla niej bez jednego drgnienia strachu, bez jednego westchnienia żalu, tak samo jak ja. No, i wszystko.

Oddał nam cześć po wojskowemu.

Wyprowadzili.

Zaczął się budzić dzień. Poszedłem do alkierza, gdzie tej nocy miał spać. Otwarłem okno. Brzask dnia już się zaczynał. Ranek. Po drugiej stronie drogi sześciu żołnierzy szybko wybierało łopatami dół w piasku. Odszedłem w głąb izby. Odwróciłem się twarzą do ściany. Boże mój!...

Było już jasno, kiedy wróciłem do okna. Mogłem już widzieć spokojnie. Na kupie piasku, pod strażą dwunastu żołnierzy z karabinami u nogi, bokiem do mnie zwrócony siedział spokojnie. Zdjęto mu już kurtkę powstańczą. Był w koszuli i tę koszulę miał rozerwaną na piersiach. W rękach ściśniętych trzymał między kolanami fotografijkę syna, Piotrusia. Głowa zwieszona, włosy spadły na czoło, oczy w tej fotografii utopione.

Zaszedł pluton żołnierzy, należący do jego własnej roty, zza węgla karczmy. Stał ten pluton naprzeciwko. Von Tauwetter prowadził. Żołnierze — broń u nogi. Stoją. Minęła chwila, druga, trzecia... Czekam, żeby Tauwetter dał komendę. Nic, cisza. Nic, cisza. Nie może dać komendy. Tamten siedział wciąż z oczami w swoim obrazku. Miałem złudzenie, że może już, tak siedząc, umarł. Przez chwilę miałem tę ulgę. Czekam. Aż oto podniósł głowę jak ciężar tysięcpudowy. Stał na kupie piasku. Nogi mu się zarobiły w sypkiej ziemi, więc się poprawił raz i drugi. Obejrzał się poza siebie, odgarnął włosy z czoła i spojrzał w żołnierzy. No, chwała Bogu, wróciło nań to wykrzywienie twarzy, ta pogarda, co ją miał w sobie na sądzie. Widziałem, jak powoli obejmowała mu twarz, oczy, czoło. Byłem szczęśliwy, że to tak, że tak właśnie, z dumą... Że Rozłucki... Czulem, jak wielką swoją wolą zmieniał się w nieczulego trupa, jak się przeistoczył w coś innego.

Rzekł:

— *Zdorowo, rebiata!*

— *Zdrowia żelajem waszemu blagorodju!* — zawrzęsneli żołnierze plutonu jak jeden człowiek.

Śmierć bohatera

Patriota, Ojciec, Syn

Pogarda, Duma

Podszedł Jewsijenko, żeby mu oczy zawiązać. Odepchnął go oczami. Feldfebel odszedł. Przycisnął tedy do serca ową małą fotografijkę, zamknął oczy. Uchyliły mu się usta od wyższego pięknego uśmiechu. Zamknąłem i ja oczy... Przypadłem piersiami do ściany. Czekam, czekam, czekam. Nareszcie — *tarrach!*

Geometra Knopf zdjął czapkę i coś tam suchymi wargami do siebie szeptał. Guńkiewicz grzebał patykiem w popiele ogniska, jakby pragnął pozakopywać sowite, pijackie lzy kapiące z jego oczu.

Zapanowała cisza. Wołały się echa po leśnych górach...

Wtem pisarz gminny zwrócił się do generała z pytaniem:

— Proszę też łaski pana generała, a gdzie na przykład jest teraz ten mały syneczek, ów wtedy sześciolatek Piotr?

— A tobie to na co wiedzieć, gdzie on? — grubiańsko i twardo odpowiedział generał.

— Ciekawość mię wzięła wiedzieć, czy się też spełniła ostatnia wola i rozkaz onego powstańca?

— Nie twoja to rzecz, i ty o takie rzeczy nie śmiejęmnie pytać — słyszysz?

— Ja się też od razu dorozumiałem — odrzekł pisarz, patrząc swymi szelmowskimi oczami, z beczelną drwiną, prosto w oczy starego generała — ja się też od razu dorozumiałem, że z tej twojej ostatniej woli, mój ty „kapitanie Rymwidzie”, tego się diabeł musiał uśmieć...

Ofiara, Syn

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/echa-lesne>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żeromski, *Echa leśne i inne opowiadania*, wyd. 1, wyd. Książka i Wiedza, Warszawa 1972.

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Weronika Trzeciak.

Okładka na podstawie: Per Ola Wiberg - Powi@Flickr, CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).